



KAZIMIERZ BANEK

Gorzkie ciastka

W BRAMIE

Było to gdzieś w połowie czerwca ubiegłego roku. Stałem akurat w bramie tej starej kamienicy na tyłach księgarni „na dole” Krakowskiej i czekałem, aż deszcz przestanie padać. Wiatr wiał wzdłuż ulicy i zimny gęsty deszcz zaczął do sieni. Niebo wyglądało niewyraźnie. Specjalnie wielkich chmur nie było, ale lało jak z cebra i kawałek nieba widoczny między dwiema kamienicami raz po raz przecinały cienkie, blade błyskawice. Podobna historia powtarzała się już od tygodnia: po pięknym słonecznym poranku nadchodziło chmurne południe i tak około dwunastej zaczynało padać.

– Ale pada, co? – zagadnął facet stojący obok i zatarł ręce z uciechy.

– Mhm – odmruknąłem słabo. Byliśmy tylko we dwóch w tej sieni, ale nie miałem najmniejszej ochoty na rozmowę.

– Wczoraj było tak samo – ciągnął tamten absolutnie niezrażony. – Rano słońce, a w południe deszcz – wychylił się z bramy i spojrzał na ulicę. – Ale dziś nie myślę moknąć – dodał po chwili.

Nie zwracałem na niego uwagi. Jakoś nie mam zaufania do takich towarzyskich facetów, co to nawiązują znajomości w bramie podczas deszczu. Ostentacyjnie otworzyłem „Postępy Astronomii” i zacząłem przeglądać artykuł o supernowych.

– O! tam dwie srajdy stoją pod toto-lotkiem – zawołał facet i zachichotał cienko.

Mimo woli spojrzałem na ulicę.

– Może coś wygrają – rzuciłem na odczepnego i czytałem dalej.

Znałem już z grubsza historię supernowych, ale tutaj widziałem masę nowych rzeczy. Facet pisał o van Maanen i o tych jego słynnych pomiarach ruchów własnych w Wielkiej Mgławicy Andromedy. To była kapitalna historia w swoim czasie. Narobili wtedy niezłego zamieszania. Chociaż w pierwszej chwili wcale na to nie wyglądało: jakiś tam ruch własny w ledwie widocznym obłoku!... Co to mogło kogo obchodzić. Tyle co zeszłoroczny śnieg. A tymczasem okazało się, że wcale nie. Bo temu van Maanenowi, co to wyglądał na drobnego rybaka łowiącego płotki w mętnej wodzie, udało się na mały haczyk dużą rybę złowić. Z jego pomiarów wynikało ni mniej, ni więcej tylko tyle, że mgławica, którą tak pilnie obserwował, wykonuje obrót w granicach jednej minuty łuku na rok. To był fatalny w konsekwencjach – jak się potem okazało – wynik logicznego rozumowania. Wyśmiali wtedy Kanta i jego teorię o „wszechświatach–wyspach” i stało się rzeczą oczywistą, że poza naszą Galaktyką nie ma więcej żadnych innych galaktyk. Bylibyśmy więc sami we wszechświecie, jedyne istoty rozumne i świadomie przeżywające przygodę życia. To by nas niejako nobilitowało, dodałoby nam uroku i powagi. Moglibyśmy uwierzyć w swoją wyjątkowość, a nawet – w naszą misję w kosmosie. Moglibyśmy mianować się misjonarzami i dokonywać podbojów poza własnym globem w imię postępu i szczytnych ideałów. Ale niestety, z czasem okazało się, że van Maanen nie ustrzegł się pomyłki i że jego pomiary zawierały podstawowy błąd. Tak więc owa „mgławica Andromedy” wcale nie jest obłokiem z naszej Galaktyki, lecz niezwykle odległą samodzielną galaktyką mniej więcej podobną do naszej. W tej sytuacji nie pozostawało już nic innego jak przywrócić Kanta do łaski i przyznać z powrotem, że jednak są owe „wszechświaty–wyspy”, porozrzucane tu i ówdzie w przestrzeni kosmicznej, jak to sobie wymyślił przed laty pedantyczny filozof z Królewca. Wiele mogło być takich galaktyk

jak nasza i wiele takich planet jak nasza, a życie wysoko rozwinięte i cywilizacje istot rozumnych przestawały być czymś wyjątkowym.

Tak oto zabawiali się ku mojej uciezce panowie astronomowie i kosmologowie. Wyobrażałem sobie, jak to siedzieli nocami w tych wielkich obserwatoriach na Mt Wilson i Mt Palomar, obserwowali niebo, tworzyli jakieś teorie, opisywali je i szukali dowodów na ich prawdziwość. A inni te teorie obalali. W każdym razie ruch w interesie był niezły. W ten sposób powstawały nowe książki a my mieliśmy co czytać. Przyglądałem się temu widowisku z ciekawością i aprobatą, śledziłem ich wysiłki, ale nie angażowałem się zbytnio po niczyjej stronie. Przyjąłem już bowiem najprostsze rozwiązanie, iż każda z teorii może być interesująca i zawierać sensowny pomysł. Po prostu lubię czytać o gwiazdach, o dalekich galaktykach i o ludziach, którzy się tym zajmują. To prawie coś takiego jak dobry kryminał.

– O! popatrz! popatrz – zawołał znów tamten i z przejęcia aż chwycił mnie za łokieć. – Ten to jest dopiero – powiedział z podziwem.

Nie chciałem wyjść na kompletnego mruka, więc jeszcze raz wyjrzałem na ulicę. Po drugiej stronie szedł jakiś facet. Nie miał ani płaszcza, ani parasola, był tylko w spodniach i cienkiej koszulce bez rękawów, a wcale się nie spieszył. Szedł spokojnie, statecznym równym krokiem, jakby się w ogóle nic nie działo, i tylko raz spojrział do góry.

– Ten to jest dopiero, co? – mój przygodny znajomy był zachwycony. Mrugnął do mnie wesoło i zatarł ręce z uciechy. Najwyraźniej spodobała mu się ta sytuacja z deszczem i stanieniem w bramie oraz obserwowaniem ludzi, jak uciekają przed deszczem albo nie uciekają. To musiała być dla niego straszna uciecha.

Rozbawiło mnie to trochę. Przyjrzałem mu się uważniej. Był niski, niepokazny, niedbale ubrany, twarz miał mocno opaloną, z wiecznie przymrużonymi oczkami, a nad górną wargą jeżyła się zadziornie szczecinka krótkich, nieco szpakowatych

wąsików. Wyglądał na jakieś 40–45 lat ale mógł być również starszy. Sprawiał wrażenie mocno steranego i zniszczonego mężczyzny, takiego, co to już swoje w życiu przeszedł. Prawdę powiedziawszy, znałem go z widzenia. To był typowy łazik. Szwendał się ciągle po ulicach, nieogolony, potargany, rozchwiany na nogach, albo siedział w „Szarotce” nad kuflem piwa. Zapamiętałem go stąd, że raz kiedy stałem pod księgarnią na Krakowskiej, tej „u góry”, czyli koło „Tatrzańskiej”, podszedł do mnie i bełkocząc niewyraźnie wystękał, że ma do mnie wielką prośbę.

– Mam do pana wielką prośbę – oświadczył patrząc mi w szyję – tylko nie śmiem.

– No, niech pan powie – zachęciłem go wówczas. Byłem trochę zaskoczony takim obcesowym zachowaniem nieznanego człowieka, a jego oddech i niebezpieczne wychylenie się do przodu i tyłu sprawiły, że pragnąłem zakończyć rozmowę jak najszybciej.

– Załatwiam taką jedną sprawę – zaczął mętnie, uśmiechając się z zakłopotaniem i przestępując z nogi na nogę. – Muszę wysłać list. Muszę im to załatwić – zaplątał się co nieco i chyba zapomniał, o czym miał mówić. – Ja przepraszam, że tak od razu – zatoczył ręką szerokie koło – że tak podszedłem.

– Nic nie szkodzi – przerwałem mu szybko. – Ale o co chodzi?

– Potrzeba mi jeszcze dziewięćdziesiąt groszy – wydusił wreszcie z siebie i uśmiechnął się przeproszająco. Był straszliwie zakłopotany.

Bez słowa wyjąłem portmonetkę i otworzyłem na jego oczach. Akurat nie miałem drobnych.

– Mam wszystkiego siedemdziesiąt groszy – powiedziałem, wysypując drobniki na dłoń. – Może ktoś inny doda panu resztę.

W milczeniu uściśnął mi rękę i kłaniając się nisko wycofał się tyłem. Byłem wtedy w dobrym humorze i ten sposób zdobywania pieniędzy wydał mi się dosyć sympatyczny, a nawet nieco

romantyczny. To było dla mnie coś takiego jak spotkanie człowieka z innego, dalekiego kraju albo z innej epoki.

Drugi raz natknąłem się na niego po południu, gdy szedłem do pracy. Stał na krawężniku koło łaźni, smętnie patrząc przed siebie i chwiejąc się lekko w przód i w tył.

– Kierowniku! – zawołał głośno przez ulicę.

Ponieważ nie było nikogo w tym miejscu, więc domyśliłem się, że chodzi mu o mnie. Przystanąłem i czekałem, aż podejdzie bliżej.

– Kierowniku – wyseplenił niewyraźnie. – Zrób mi złoty pięćdziesiąt.

Tym razem, jako że nie byłem żadnym kierownikiem, zdenerwowałem się trochę. Nie byłem też w zbyt wesołym nastroju. Ostro odparłem więc, że nie mam drobnych. Skrzywił się na to co nieco i z niesmakiem przejechał językiem po górnej wardze. Oczy miał przymknięte, jakby już–już usypiał, i nie odezwał się ani słowem.

Po raz trzeci spotkałem go dopiero owego czerwcowego dnia tamtego roku w bramie podczas deszczu.

– O! popatrz! popatrz teraz – zawołał właśnie mocno podniecony i znów chwycił mnie za łokieć.

Nie lubię takich szybkich poufałości, więc delikatnie wyswobodziłem rękę. Zresztą nie działało się nic specjalnego. Gęsty deszcz siekł szybko, ukośnie, i przez całą szerokość ulicy szorował wartki strumień wody. Asfalt, oczyszczony z błota i kurzu, lśnił pięknym czarnym kolorem. Wysoko w górze, na tle białych, potarganych chmur jaskółki zataczały szerokie koła. Zrobiło się trochę weselej.

– Jeszcze trochę, a można tu będzie kaczki puszczać – zawołał.

– No.

– W tamtym roku jak byłem nad Dunajcem, to puściłem za jednym razem dwanaście kaczek. Nie kamykiem, pajansem.

– Jakim pajansem?

– No, takim białym, okrągłym. Pewnie z rozbitego talerza.

– To może fajansem.

– A nie wiem, co to było, pajans czy fajans...

„Tyś cały jak ten pajans” – pomyślałem sobie.

– Bańki się robią na wodzie – zauważyłem. – Będą deszcze.

– Aha – przytaknął skwapliwie, a oczy błyszczały mu jakoś dziwnie. – Ale zapierdala – powiedział z radością.

Ten deszcz podniecał go niesłychanie. Cieszył się, że pada i że woda płynie ulicą, że ludzie uciekają i chowają się po bramach, że biją pioruny. Od czasu do czasu zacierał ręce i chichotał do siebie. Miał tu całą masę powodów do radości. Był jak człowiek z odległej przeszłości, całkowicie zanurzony w otaczający go świat i od niego zależny, a także żywiołowo reagujący na wszystko co się dzieje.

– Ja przepraszam, że tak mówię – dorzucił zaraz. – Tak mnie już nauczyli.

Spojrzałem znów do „Postępów Astronomii” i dalej czytałem o tajemniczych supernowych z odległych galaktyk, o pracach badawczych w Kalifornijskim Instytucie Technologii w Pasadena i o tym odkryciu Fritza Zwicky’ego z falami radiowymi. Miałem jeszcze *Kosmologię* Hermanna Bondi’ego, którą kupiłem przed chwilą, ale to zostawiłem sobie na deser. Chciałem się do niej zabrać w domu, gdy będę sam i nic mi nie będzie przeszkadzać. Bondi to przecież w astronomii wielka postać. Kiedy wydawało się, że nic już nie można wymyślić mądrzejszego od pięknej teorii Edwina Hubble’a o ucieczce galaktyk, a więc o wszechświecie rozszerzającym się od czasów Wielkiego Wybuchu, to właśnie on wraz z T. Goldem i F. Hoyle’em zaproponował jeszcze piękniejszą, a do tego bardzo prostą i elegancką teorię, którą nazwano *modelem stanu stacjonarnego*. Tutaj więc – odmiennie niż u Hubble’a – materia wszechświata nie rozrzedza się w wyniku jego rozszerzania, ponieważ cały czas trwa proces tworzenia nowej materii. Jedne gwiazdy wypalają się i gasną, ale w tym czasie z energii, czyli kwantów światła pędzących

w przestrzeni, powstają nowe gwiazdy. Galaktyki oddalają się od siebie, ale w pojawiającej się w ten sposób próżni powstają nowe galaktyki. Wszechświat wygląda więc tak samo w każdym momencie i z każdego miejsca, a gęstość materii jest stała. Byłby to zatem świat stacjonarny, podobnie jak u Wilhelma de Sittera, ale nie tak pusty jak u niego.

Czytałem i czytałem, wprawnie przeżykałem gęste szeregi linijek, jakbym nizał je wytrwale na wymagowaną nitkę, ale jakoś mi nic do głowy nie szło. Nie potrafiłem się skupić. Coś mnie ciągnęło nieustannie, żeby spojrzeć na tego towarzysza niedoli. To był strasznie ruchliwy facet. Ani chwili nie mógł ustać spokojnie. Kręcił się przy wejściu, spoglądał do góry i na boki, a jeśli deszcz przybierał na sile, to chichotał cicho. Jakby to on był sprawcą tego wszystkiego, tego deszczu i chmur i nas tutaj w bramie. Jakby on tu miał najwięcej do powiedzenia.

I wtedy ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie Saroyana. Tego pisarza amerykańskiego. Otóż kiedy się czyta Saroyana, to wszystko wydaje się bajecznie proste. Literatura to coś takiego jak rozmowa dwóch sąsiadek, które spotkały się w piekarni i opowiadają sobie, co będą gotować na obiad. Nic nadzwyczajnego. Wystarczy napisać o swoich wujkach i znajomych, na przykład o tym marynarzu, któremu statek uciekł do Australii i który potem grał na wyścigach konnych, albo o owym geniuszu z miasta Fresno, który chciał nauczyć Chińczyków jeść rodzinę, albo o wujaszku Vahan, który przyjechał czerwonym Appersonem – jedynym czerwonym Appersonem w Stanach – i który potem poszedł na wojnę w Europie i już więcej nie powrócił, albo o fryzjerze imieniem Aram z ulicy Mariposa i o jego stryжку Misaku, któremu tygrys odgryzł głowę w cyrku Barnuma. A także o starym człowieku, którego serce było w górach, i o Jimie Pembertonie i pani Sheridan, i jeszcze o pewnym hurtowniku winogron, który nazywał się Huntington, ważył 240 funtów, miał dwa Cadillaki, sześćset akrów winnic z ganku Alicante i przeszło milion dolarów w Valley Bank.

Taka jest właśnie sprawa z tym naszym pocziwcem Saroyanem. Wszystkiego się tam można u niego dowiedzieć i o każdym można poplotkować do woli, ponieważ jest to mała kronika małego miasteczka w Kalifornii, które nazywa się Fresno. I pomyślałem sobie, czy przypadkiem ten człowiek, z którym rozmawiałem przed chwilą nie jest kimś w rodzaju stryjka Misaka albo na przykład Parowozu 38 ze szczepu Odżibwaj. Czy nie jest geniuszem, który w tajemnicy przed wszystkimi obmyśla najwspanialsze i najtragiczniejsze scenariusze filmowe. Albo czy nie jest to ktoś w rodzaju tych paryskich cyganów z lat dwudziestych i trzydziestych, tych młodych zgorzkniałych mężczyzn ze straconego pokolenia, którzy wędrowali nędznie po mansardach i poddaszach, a później tak wspaniale zabłyszeli na firmamencie malarstwa i literatury. I co mnie tu jeszcze u niego najbardziej uderzyło: to ta jego czystość wrażeń i naturalna pierwotność spojrzenia, ta niemal dziecięca naiwność i świeżość w podejściu do zjawisk tego świata. Był człowiekiem, który z pewnością nie wiedział, co to jest deszcz ani skąd się on bierze, ale który odczuwał go całym ciałem. Był jak łowca zwierząt z epoki kamiennej, którego zmysły w najwyższym stopniu wyczulone były na wszelkie zmiany pogody. Widać było, że nie jest on z tych ludzi, którzy co rano o godzinie siódmej wychodzą do pracy i którzy mają swoje urlopy, a także liczą na wysługę lat i niezłą emeryturę. Z pewnością nie składał na książeczkę PKO ani nie starał się o mieszkanie spółdzielcze, nie marzył o tym, żeby kupić sobie telewizor i lodówkę, a potem samochód. To był taki mały, nikomu nieznany tarnowski *paisano*.

Otóż to... tarnowski *paisano*, lokalny Dean Moriarty albo Neal Cassady. A ja tu jestem niczym jakiś Jack Kerouac, który to wszystko obserwuje i może kiedyś opisać. Oto mamy nową przygodę, nową historię. A więc znalazłem nareszcie własną krainę, własny kontynent... Opowieść o wyrzutkach, o wykojeńcach, o ludziach, których zmęczyła już nasza cywilizacja, którzy nie chcą podążać wciąż naprzód, coraz szybciej i szybciej,

którzy pewnego dnia zatrzymali się na jakimś rogu, na jakimś przystanku i nie ruszyli już dalej ze wszystkimi ludźmi. Nie interesuje ich chorobliwe gromadzenie dóbr ani robienie tak zwanej kariery. Po prostu sobie żyją, z dnia na dzień. Byle jak...

Przerwałem więc lekturę artykułu o tajemniczych supernowych z odległych galaktyk i zamknąłem „Postępy Astronomii”. Wyjąłem długopis i na tylnej okładce zacząłem odtwarzać naszą rozmowę. Być może, iż w naszych czasach, gdy wszystko zostało już zbadane, przeliczone i przekopane, tylko w okolicy banału są jeszcze ziemie nieodkryte. Tylko wśród tych śmieci i odpadków można jeszcze znaleźć jakieś okazy rzadkie i autentyczne, choć dotąd nieopisane... Należało więc śledzić je i wyłapywać, chwytać na gorącym uczynku i przybijać szpilą niczym barwne motyle.

Wysoko w górze przetoczył się ciężki stłumiony grzmot. Facet aż podskoczył z uciechy.

– O! Słyszysz? – zawołał zadzierając głowę do góry. – Jadą z gnojem, jak się to mówi.

Spojrzał mi uważnie w oczy i mrugnął wesoło.

– Ja przepraszam, że tak mówię. Ale tak mnie już nauczyli.

– Nic nie szkodzi – odparłem machinalnie i zapisywałem dalej.

Chwilę stał spokojnie, z uwagą wpatrując się w niebo, a potem odchylił się w bok i splunął siarczyście do kąta. Jakby w ten sposób chciał pokazać, że wszystko już tam, czyli na niebie, rozpoznał i że jest spokojny o to, co nastąpi dalej. Miał nad tym pełną kontrolę.

– Ja przepraszam, że tak pluje – powiedział zaraz.

Zapisałem już wszystkie wolne miejsca na okładce i wtedy długopis mi się skończył. Zrobiłem kilka zamasztych pociągnięć z drugiej strony okładki, ale kreski robiły się coraz bardziej blade.

– Co to? Nie pisze ci? – zainteresował się tamten, zagładając mi przez ramię. Nawet nie zauważyłem, jak gładko przeszedł na „ty”.

– No. Właśnie się skończył.

Pogrzebał w kieszonce koszuli i wyjął stary powyginany długopis srebrnego koloru. Wziąłem go i udawałem, że coś piszę. Czekałem, aż znów zacznie mówić.

– Miałem sobie coś zapisać, żebym potem nie zapomniał – wyjaśniłem mu. – I właśnie mi się wypisał.

– Mój też się już kończy – powiedział szybko. – Będę go musiał napełnić. Nie masz zapalek?

– Nie. Nie palę.

Akurat z góry schodził po schodach jakiś wyrostek z papierosem w ustach, więc odpalił od niego. Zaciągnął się mocno, raz i drugi, rozkosznie przymykając przy tym oczy i oparł się o ścianę.

– Nie wiesz, ile kosztuje napełnienie? – spytał. Odkąd pożyczył mi swój długopis, nabrał pewności siebie i zachowywał się bardziej swobodnie.

– Aaa, gdzieś z pięć złotych – rzuciłem na chybił-trafił.

– A nowy wkład?

– Nie wiem. Ale chyba tyle samo.

– Będę go musiał napełnić – stwierdził poważnie. Pogrzebał w kieszeni od marynarki i wyjął na dłoni trochę drobnaków – Nie wiem, czy mi wystarczy. Złoty, złoty pięćdziesiąt – liczył głośno – dwa, dwa pięćdziesiąt, dwa siedemdziesiąt, dwa dziewięćdziesiąt, trzy czterdzieści, trzy pięćdziesiąt.

Podsunał mi rękę pod oczy, żebym się sam przekonał, że właśnie tyle ma pieniędzy. Już się domyślałem, o co mu chodzi. Szybko zamknąłem długopis i oddałem mu z powrotem. Deszcz powoli ustawał.

– Wygląda, jakby się przejaśniało – powiedziałem.

– Aha – przytaknął bez entuzjazmu. Wsypał pieniądze do kieszeni i zaczął rozkręcać długopis. – Muszę zobaczyć, czy jeszcze coś zostało w środku.

Wyjął wkład i badał go pod światło

– O, już się wypisał – stwierdził ze smutkiem.

– Pokaż – powiedziałem. Ciekaw byłem, czy mnie nie nabiera.

Wziąłem wkład i podniosłem go do góry. Facet stał tuż obok i w napięciu obserwował moje poczynania. Jakby się trochę denerwował.

– Tylko uważaj na sprężynkę – upominał mnie z namaszczaniem. Widać było, że bardzo jest przejęty z powodu tej sprężynki. Pewnie dlatego, że był to jego długopis i jego sprężynka.

– Nic się nie bój. Trzymam ją tutaj.

Wkład był dopiero napoczęty. Ciemny słupek opadł nie więcej jak o pół centymetra. Oddałem mu z powrotem.

– Jeszcze nic nie jest wypisany. To zupełnie nowy wkład.

– Niewypisany? – zdziwił się. – Przecież już pisałem nim parę razy.

– E, co to jest – machnąłem ręką. – Taki długopis to wystarczy na miesiąc.

Deszcz ustał zupełnie. Chmury przeredziły się, podeszły w górę i przebijała przez nie srebrna poświata.

– No, to trzeba iść – powiedziałem i machinalnie wyciągnąłem do niego rękę.

– Zaczekaj, zaczekaj – przytrzymał mnie mocno. – Dodaj mi te półtora gola, żebym mógł zapłacić za napełnienie – wyrzucił z siebie pospiesznie.

Stał z przekrzywioną lekko głową i patrzył mi pilnie w oczy, a drugą ręką nerwowo przewracał drobniaki w kieszeni. Nie miałem serca odmówić mu tym razem. Choć wiedziałem już, jaki będzie dalszy ciąg. Facet, po zainkasowaniu kilkadziesiąt groszy, po prostu wyjdzie z tej bramy, skręci w lewo, a po dwudziestu metrach dojdzie do Krakowskiej, tam skręci

w prawo i po minięciu księgarni wstąpi do „AS-a”, czyli najbliższej knajpy klasy „mordownia”, gdzie zebrane do tej pory pieniądze zamieni na kufel lanego piwa. Wiedziałem to wszystko. Ale wcale mi to nie przeszkadzało. Wyjąłem portmonetkę i odliczyłem półtora złotego. Twarz mu momentalnie pojaśniała. To musiała być dla niego wielka radość naciągnąć tak kogoś na złotówkę.

Jeszcze raz uściśnąłem mu rękę, a potem szybko ruszyłem do domu. Niebo wypogodziło się już zupełnie. Powietrze było czyste i rześkie a i ja sam czułem się jakby odrodzony. Szedłem do domu, ale był to już inny kraj i inna ulica. I innych ludzi widziałem wokół siebie, zwykłych, prostych ludzi. Sympatycznych i przyjaznych. Oddychaliśmy tym samym, opłukanym przez deszcz powietrzem, i słuchaliśmy tych samych, śpiewających w górze jaskółek. Już wiedziałem, że poprzednia męcząca przygoda zakończyła się nieodwołalnie. Nie ma sensu siedzieć w pokoju przy oknie, i patrzeć jak wiatr chwieje gałęziami drzew, i myśleć o tym, że nie ma o czym pisać. Zawsze jest o czym pisać, ale trzeba wyjść na ulicę i przejść się po mieście, trzeba dać się ponieść przypadkowi. Główny nurt rzeki, którą wszyscy płyniemy, unosi również odpadki i śmieci. I po to, żeby zrozumieć sens nas wszystkich, całą naszą cywilizację, nie trzeba wcale patrzeć przez lunety i mikroskopy. Rzecz przeciż w tym, aby wszechświat cały, ten niezwykle i tajemniczy kosmos, umieć dostrzec w małej kropli wody.

JAPOŃCZYK

– O, nie chce zdradzić tajemnicy – uderzył tato dłonią w gazetę.

– Kto? – spytałem.

– Ten Japończyk.

– O!

– Taki pieron – dodał tato z podziwem i znów zagłębił się w gazetę.

– A co?

– No, żona mu leży w domu nieżywa i nie psuje się.

– Ci Chińczycy to mają tam różne sposoby – zauważyła mama znad maszyny do szycia.

– Nie – skrzywił się tato z niesmakiem. – To Japończyk. Przecież mówię.

– Aaa, Japończyk... – wycofała się szybko mama.